

I R E N A M A Ł Y S A

Autorka bestsellera  
*W cieniu Babiej Góry*

# DEMONY BABIEJ GÓRY

Myślała, że od nich uciekła.  
Ale one podążyły za nią.



I R E N A   M A Ł Y S A

# DEMONY BABIEJ GÓRY



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Agnieszka Fiedorowicz  
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania  
Korekta: Katarzyna Kusojć  
Projekt okładki i ilustracje: Krzysztof Rychter  
Wyklejka: © Unsplash.com  
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Irena Małysa

Copyright © 2024, Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE  
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2024  
ISBN 978-83-8371-014-3

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



# ROZDZIAŁ 1

*Zawoja, 9 sierpnia 2022 roku*

**N**ie spodziewała się, że po tylu razach znów to poczuje. Ciało zastygło w zachwycie. Przed jej oczyma falowało morze chmur, nad którymi królowały Tatry. Słońce wynurzało się z fal powoli, pochłaniając niebo czerwienią i pomarańczem. W miarę jak jego krąg stawał się coraz wyraźniejszy, Diablak wylaniał się z cienia. Nocne szepty i odgłosy chowały się po drugiej stronie masywu, wciąż w krainie cienia. Miała wrażenie, że odbywa się tu walka dobra ze złem. Światła z mrokiem. Spojrzała w stronę Zawoi, wciąż pograżonej w ciemności. Gdzieś tam, w leśnych jamach, skrywały się babiogórskie demony. Odwróciła twarz do słońca – zakwitło nad wzburzoną taflą chmur, w której tonął świat.

Tomek stał z otwartymi ustami, zapatrzonego w ten spektakl natury. Oczy błyszczały mu jak dwa ogniki. Wiatr smażył jego ciało, które zdawało się wrastać w skalne podłoże. Pierwszy raz widział wschód słońca na Babiej Górze.

Wyglądał na oczarowanego. Podeszedł do niej i zagarnął ją ramieniem.

– Miałaś rację – powiedział, przekrzykując szum wiatru. – To jest piękne!

Pocałował ją. Przymknęła oczy, zaglądając do swojego wnętrza. Czy jest szczęśliwa? Jej ciało tak. A dusza?

Gdy Tomek oderwał się od niej i ruszył wyżej z aparatem, aby złapać kilka ciekawych ujęć, ona się odwróciła. Wbiła wzrok w miejsce, o którym opowiadał jej tyle razy dziadek Uciecha. Grań, z której rzucił się Kazek Stanach, wciąż pogrążona była w mroku. Ten cień ją pochłaniał. Tyle było go naokoło. Tyle było go w niej samej.

Celina Zajda czekała na ich powrót z wielkim zaaferowaniem. Siedzący z nią na ganku dziadek Uciecha popijał herbatę z ulubionego kubka. Wpatrywał się w Baśkę tymi jasnymi oczami niczym kot.

– Mądrze to tak przed podróżą się wymęczyć? Jak ty teraz dojedziesz nad to morze? – rozpoczęła swój lament matka Baśki.

Tomek mrugnął do swojej góralicy i ruszył w stronę Celiny.

– Moje ulubione drożdżówki. Teścióweczko kochana! – zawołał, porywając z koszyka jedną z ciepłych jeszcze bułeczek.

Celina Zajda miała ogromną słabość do chłopaka córki, która z rozbawieniem spoglądała teraz na matkę, jak nadskakuje mu przy stole, przy którym Tomasz rozsiadł się jak król. Spodziewała się takiej ich relacji, jeszcze zanim przywiozła go do Zawoi, po powrocie z Mysłowic. Spijali sobie z dzióbków jak młode małżeństwo. Czasem w związku

z Tomkiem niemal czuła się tą drugą. Nie miała o to żalu do matki. Celina tak sobie rekompensowała niezaspokojone dotychczas pragnienie posiadania syna.

Baśka przybliżyła stołek do dziadka Uciechy i dosiadła się do nich. Z każdą porą roku było go trochę mniej. Jasne oczy stawały się coraz bardziej przeźrocyste.

– Dziadku, będziesz tu wszystkiego doglądał, jak nas nie będzie?

– Bedom. – Nie patrzył na nią. Jego wzrok ślizgał się po zboczach Babiej. – Opowiydz, jako było, kapryśnico...

Wiedziała, o co pyta. Tęsknił za Babią. Nie miał już sił na nią wejść. A tam przecież zostało jego serce...

Zajda szeptem rozpoczęła opowieść o morzu chmur. Uciecha przymknął powieki i przejechał językiem po spierzchniętych wargach, które drżały lekko z przejęcia. Czas leciał leniwie aż do popołudnia, kiedy to Baśka powiedziała:

– Pora się zbierać.

Gdy żegnali się z Tomkiem, który wyjeżdżał do Krakowa, Celina podjęła ostatnią próbę namówienia go, aby pojechał z nimi nad morze. Jeszcze raz wytłumaczyli jej, że wszystko jest świetnie zorganizowane. Celina miała wziąć udział w dwutygodniowym turnusie rehabilitacyjnym, a Basia przejść tam serię zabiegów likwidujących blizny po oparzeniu. Celina skwitowała ich zapewnienia jednym zdaniem:

– Jak ja bym takiego Tomka młodego miała, tobym w życiu ze starą matką nad morze nie pojechała!

Po niekończących się pożegnaniach odjechał. Baśka zdała sobie sprawę, że trudno jej będzie znieść tęsknotę.

Widzieli się głównie w weekendy, ale ich związek był bardzo ognisty. Wciąż było im siebie za mało.

I one musiały się zbierać. W zapakowaniu walizek do samochodu pomógł sąsiad, Józek, który miał podczas ich nieobecności zaopiekować się dziadkiem Uciechą.

Droga nad morze była niezwykle męcząca, gdyż Celina wzięła sobie mocno do serca postanowienie, że musi przez cały czas prowadzić rozmowę z córką, aby uchronić ją przed zaśnięciem. Dopiero gdy matka zamknęła powieki, Zajda puściła cicho audiobooka.

Rano były w Koszalinie. Zatrzymały się na śniadanie w pobliskiej restauracji. Miały sporo czasu.

– Szkoda, że nie będziesz spała razem ze mną w sanatorium, Basiu. – Celina znów wróciła do wałkowanego godzinami tematu.

– Mówiłam ci, mamu, że chcę pobyć sama. I tak będziemy się widzieć codziennie, będę przyjeżdżać na zabiegi. – Spojrzała przez brudną szybę restauracji. – Szkoda tylko, że nie wypaliło z tymi jurtami. Zawsze miałam ochotę na pobyt w takim miejscu. Mam nadzieję, że odzyskam zaliczkę. Na razie właściciele się nie odzywają. – Sięgnęła do plecaka i wyciągnęła z niego zapisaną karteczkę. – Tu napisałam ci adres, gdzie się zatrzymam. To kilka kilometrów od sanatorium.

Celina pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Ja wiem, że nie chcesz spać z dziadami w sanatorium, ale sama? Co będziesz robić popołudniami?

Córka mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Przede wszystkim nie chcę ci psuć dancingów. Może kogoś poznasz? Jakiegoś uroczego starszego pana?

Celina zasłoniła usta jak nastolatka.

– Basiu, daj spokój.

Zajda z radością obserwowała matkę, która przejmowała się tym wyjazdem równie mocno jak ona dwadzieścia lat temu, gdy wyjeżdżała na kolonie.

– Mam zamiar przeczytać kilka książek, kąpać się w morzu i dużo jeździć na rowerze. Chcę zrzucić kilka kilogramów.

Celina uniosła wysoko brwi. Dobrze знаła swoją córkę i czuła, że zachodzi w niej jakaś przemiana.

#### ***Maków Podhalański, 9 kwietnia 1969 roku***

**M**adzia Stanach stała w tłumie kobiet i mężczyzn na stacji kolejowej. Czekala razem ze swoim piętnastoletnim synem Andrzejem na pociąg do Krakowa. Budynek dworca widziała już kilka razy. Był piękny, zdawał się jej pałacem. Stamtąd mieli się udać prosto nad morze, do PGR-u. Wielu miejscowych już tam zawitało. Andrzej był wciąż roztrzęsiony. Nie poznawała syna. Po tym, co się stało... co kazał mu zrobić ojciec... musiała stąd uciekać, jak najdalej od tej przeklętej góry, od diabła, którego widziała w oczach Kazka. Nigdy nie była nad morzem. Nigdy nie jechała dalej niż do Krakowa. Czy poradzi sobie bez męża? Jej pełne obaw serce kołatało nierówno. Gwizd lokomotywy sprawił, że ciało Andrzeja zaczęło drgać. Objęła go ramieniem, starając się zabrać od niego choć część tego lęku.

Podczas gdy szary pociąg wtaczał się ciężko na peron, pasażerowie żegnali się z członkami rodziny. Jadzi zdawało



się, że tylko ona i Andrzej są sami. Nikt ich nie odprowadzał, nikt im nie życzył szczęśliwej podróży. Zajęli miejsce w przedziale i umieścili skromny bagaż pod nogami. Jadzia nie mogła oderwać oczu od widoku za oknem.

– Łoćiec zwariuje – wyszeptał jej do ucha syn. – Nie powinniśmy go ostawiać...

Przyłożyła palec do ust. Tak, wyrzuty sumienia były nieznosne. Ale strach przed złem okazał się jeszcze gorszy. Musiała ochronić Andrzeja. Tymczasem przedział wypełnił się po brzegi wszelkiej maści ciżbą. Ludzie układali swoje tobołki na półkach. Za oknem zobaczyła młodą kobietę taszczącą do pociągu wielką pierzynę. Najpewniej był to jej posąg. W pewnej chwili podbiegł do niej od tyłu starszy mężczyzna i zaczął się z nią szarpać. Był od niej znacznie silniejszy mimo niskiego wzrostu, toteż wyrwał jej bez trudu łup. Zapłakana kobieta wsiadła do wagonu i oparła się o ścianę w przejściu.

– Tylicke z chlupy miołam, co to pierzyno... – zalewała się łzami.

Jadzia poczuła w ustach gorzki smak. Sama była sierotą, przygarniętą przez wujka Józka. Gdy go zabrakło, była zdana na łaskę i niełaskę jego rodziny. Nie dostała posagu. Tak jak ta dziewczyna – została nawet bez marnej pierzyny. Dotknęła podbrzusza, które wciąż bolało swą pustką. Teraz najważniejszy był Andrzej.

Rozległ się gwizd i pociąg szarpnął. Na peronie wciąż stali ludzie machający bliskim. Ruszyli. Gdy mijali Maków, obserwowała Makowską Górę. Dalej jej oczom ukazała się błyszcząca w słońcu wstęga Skawy. Para bocianów reperowała stare gniazdo sklecone na dachu rozwalającej się

chałupy. Nie zdawała sobie sprawy, jak będzie tęsknić za tymi widokami, jak bardzo będzie jej brakować gór.

Na dworcu głównym w Krakowie pociąg stał długo. Przedział wypełnił się po brzegi barwną mieszkanką ludzi. Przed nią stanęły dwie młode kobiety w wieku około trzydziestu lat. Ubrane były w spodnie dzwony, które widywała tylko w gazetach. Obie nosiły błyszczące body z długimi kołnierzykami i buty na koturnach. Nie mogła się na nie napatrzeć. Jakże były dalekie od jej biedy, jej zmartwień. Jak te ptaki, które gdy tylko się oziębia, mogą uciec do ciepłych krajów, wzbić się w powietrze, wolne od zmartwień, i szybować tam, gdzie życie jest prostsze. Kobiety się śmiały, otwierając szeroko usta pociągnięte pomadką. Dotknęła swojej twarzy. Musiała wyglądać okropnie. Przytuliła się do okna, jakby chciała być mniej widoczna. Pociąg znów sunął, a ona co jakiś czas obojętnie przyglądała się wsiadającym i wysiadającym pasażerom. W Warszawie w przedziale najpierw zrobiło się trochę luźniej, a zaraz znów wypełnił się on nowymi podróżnymi. Na siedzeniu naprzeciwko usiadła para w podobnym do Jadzi wieku. Mówili z dziwną melodią w głosie, którą słyszała kilka razy wśród przyjezdnych w Zawoi.

– A pani dokąd jedzie? – zagadała ją kobieta okutana w chustkę.

– Ja do PGR-u z synem. Za robotą.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się szeroko.

– A do którego? – dopytywała dalej kobieta.

Jadzia podniosła wzrok na Andrzeja, który milczał niemal całą drogę. Chłopak nie odpowiadał, wpatrzony w Warszawę za szybą, która znikwała w coraz szybszym tempie.

– Do Marucic. Tam gospodarstwo duże jest. Z naszej wioski kobity wyjechały, zadowolone są.

Jej rozmówczyni pochyliła się do niej i uściśnęła jej dłoń.

– My też tam. Jesteśmy Matysiakowie.

Dalsza podróż minęła im na wspólnej rozmowie. Choć Jadzia bardziej słuchała, niż mówiła. Na pytania o męża odpowiadała wymijająco. Z lękiem patrzyła, jak Andrzej zaciska pięści.

– A syn coś małowunny?

– Ckni mu się za domem, za góreckami, bo tu tak płasko.

Gdy wysiedli na dworcu w Koszalinie, okazało się, że takich jak oni jest sporo. Do PGR-ów ściągali ludzie z całego kraju. Każdy zwabiony zachętami władzy, marzył o krajinie mlekiem i miodem płynącej. Na plakatach przedstawiających mężczyznę jadącego nowoczesnym kombajnem nie było widać znoju.

## ROZDZIAŁ 2

*Marucice, 10 sierpnia 2022 roku*

**M**inęła ośrodek „Morski Glamping”, tęsknie spoglądając na cztery jurty. W jednej z nich miała spędzić dwa tygodnie. Jej aktualna kwatery znajdowała się sto metrów dalej. Skręciła w prawo i wjechała przez otwartą bramę. Domki „Mewa”, mimo widocznych starań właścicieli, wyglądały dużo mniej atrakcyjnie. Zaparkowała na stanowisku z tabliczką: „Parking dla gości”.

Miała tu być wcześniej, ale musiała zwiedzić z matką cały budynek sanatorium, pomóc jej się rozpakować i wysłuchać kolejnej porcji wyrzutów. Na ławce przed domem siedziała staruszka, ubrana w chustkę i podomkę. Z budynku wyszedł mężczyzna przed czterdziestką.

– Witamy! – zawołał serdecznie i podszedł do Baśki. W rękę dzierżył klucz.

– Dzień dobry, miałam być trochę wcześniej, przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Domek jest gotowy na pani przyjazd. Pomogę z bagażami.

Zajda otworzyła bagażnik i podała mu jedną z toreb. Sama zabrała pakunki i udała się za gospodarzem do swojego lokum. Domek był położony blisko ogrodzenia. Gdy otwarto drzwi, ze środka wydobył się całkiem przyjemny zapach. Musiął zostać starannie posprzątany po wcześniejszych gościach.

– Bardzo ładny – powiedziała Zajda, wchodząc do środka.

Zrobiła to z uprzejmości, bo wewnątrz było utrzymane w stylu drink-baru, którego nie znosiła. Czarny barek, podświetlany czerwonym ledowym światłem, sprawiał wrażenie bardziej wyposażenia burdelu z lat dziewięćdziesiątych niż nadmorskiego domku.

– Ma tu pani najnowocześniejsze wygody – zachwalał mężczyzna. – Lodóweczka, kucheneczka indukcyjna, pryszniczek – ciągnął, mordując jej umysł zdrobniejszymi.

– Pieniążki mam zapłacić teraz? – odwdzięczyła mu się tym samym.

– Jakby była pani taka uprzejma...

Zajda położyła na barku wyliczoną wcześniej kwotę. Gospodarz przeliczył skrupulatnie, z lubością wpatrując się w każdy banknot. Skłonił się i już chciał wyjść, lecz Zajda go powstrzymała.

– A pan wie, czy tam w tym „Morskim Glampingu” ktoś jest? Wpłaciłam im miesiąc temu zaliczkę na pobyt, ale od kilku tygodni nie odpowiadają na wiadomości. Dodzwonić się też nie mogę.

Mężczyzna, stojąc już w progu, wzruszył ramionami.

– Podobno wyjechali.

Baśka pokiwała głową i uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Na waszej stronie przeczytałam, że można wykupić śniadania. To aktualne?

– Tak. Dam znać żonie, żeby na jutro było gotowe. Po-  
dajemy między ósmą a dziewiątą na tarasie przyległym do  
domu.

Baśka zamknęła za nim drzwi i opadła na łóżko. Ogarnę-  
ła ją senność, wcześniejsze plany spaceru po plaży postano-  
wiła odłożyć na następny dzień. Nie wiedziała nawet, kiedy  
zasnęła. Obudziła się późnym popołudniem. Zadzwoiła do  
Tomka, który zdążył wysłać do niej kilka wiadomości. Na-  
stępnie wypakowała z samochodu resztę rzeczy i ułożyła  
je na półkach w domku. Wzięła prysznic, zmywając z sie-  
bie ostatki zmęczenia po podróży. Postanowiła się przejść  
po okolicy. Wyszła na główną drogę – było tu zupełnie pu-  
sto i cicho. Zatrzymała się sto metrów dalej, przed bramą  
z napisem „Morski Glamping”. Teren wokół jurt był piękn-  
ie oświetlony lampkami z żarówek, które poprowadzono  
między drzewami owocowymi. Na środku znajdowała się  
ogromna altana z paleniskiem. Z tyłu posesji wyglądał zza  
drzew mały domek. Teren był zupełnie pusty. Na podjeź-  
dzie nie parkował ani jeden samochód. Nacisnęła na klam-  
kę, lecz furka była zamknięta. Pomyślała, że sześćset zło-  
tych zaliczki już przepadło. Może zbankrutowali i porzucili  
interes? Postanowiła, że nie będzie psuła sobie tym urlopu,  
to tylko pieniądze.

Ruszyła dalej, w stronę wydmy. Co chwilę przystawała  
i zachwycała się widokami. Zauroczyło ją bocianie gniaz-  
do, w którym pisklęta urosły już na tyle, że rodzinka led-  
wo mogła się pomieścić. Na pobliskim słupie elektrycznym  
stał eksmitowany ojciec rodziny. Trud wychowania nie omi-  
jał żadnego gatunku. Po skoszonym polu, zasłanym ma-  
lowniczo balami słomy, przebiegły dwa zajaczki. Ostatnio

wszystkie młode istoty budziły w niej żywe emocje. Powód tej nadmiernej wrażliwości skrywała głęboko w sobie.

Gdy tylko wyłoniła się z sosnowego lasu, otuliła ją morską bryza. Morze zdawało się ją witać. Zrzuciła buty i z przyjemnością zanurzyła stopy w piasku, który nigdzie na świecie nie był tak miły dla skóry. Właściwie nie była tu od śmierci ojca. Gdy była dzieckiem, w każde wakacje spędzali w Marucicach tydzień, podczas którego miała tatę tylko dla siebie. Gdy młodsza o ponad dwadzieścia lat Celina Zajda oddawała się kąpielom słonecznym, ojciec Baški budował dla córki gigantycznych rozmiarów zamki i inne konstrukcje budzące podziw wśród plażowiczów. Słona łza spłynęła jej po policzku. Ojca nie było już tyle lat. Pomyślała, że byłby świetnym dziadkiem. Podeszła do wody i czekała, aż fala muśnie jej bosc stopy.

Na plaży było tylko kilka osób. Gdzieś w oddali widziała nastoletniego chłopaka puszczającego latawiec. Rozpięty na patkach kawałek materiału miotał się na wietrze. Młody człowiek zwiżał pospiesznie linkę, próbując utrzymać go jak najdłużej w powietrzu. Latawiec zaczął się gwałtownie zniżać, zbliżał się do Baški, mknąc nisko niczym myśliwiec. Odruchowo uskoczyła w bok w tym samym momencie, gdy wbił się w piasek pod jej nogami. Podniosła go i stała, wpatrując się w chłopaka. Musiało to wyglądać zabawnie. Byli teraz jakby połączeni linką latawca. Pomażała do nastolatka, ale ten wcale nie zbliżał się do niej, by odebrać swoją własność. Odruchowo ruszyła w jego stronę. Tamten drgnął nerwowo, jakby chciał się rzucić do uciezki. Zatrzymała się i zwiężała powieki. Wyglądało, jakby słońce tonało w morzu. Chłopak stał dalek bez ruchu. Miał czapkę

z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, które zasłaniały mu twarz. Mimo to Baśka dojrzała, że jest zadziwiająco blady. Włosy wystające spod czapki były białe. Poczuli się niezręcznie, więc położyła latawiec na piasku i ruszyła w kierunku wyjścia z plaży. Wchodząc na wydmę, odwróciła się ostatni raz, by pożegnać morze. Chłopak stał z latawcem w dłoni, wyglądał niezwykle malowniczo na tle zachodzącego słońca.

### ***Marucice, 14 kwietnia 1969 roku***

**J**echała PKS-em, a świat za oknem zdawał się jej szary i brudny. Dopiero teraz zrozumiała, jak ukochała górski krajobraz. Płaska przestrzeń wydawała się jej nudna. Wielkie wrażenie zrobiły na niej poniemieckie domy. Wszystkie murowane z czerwonej cegły, dwukondygnacyjne, ze sztukaterią wokół okien. Na początku myślała, że to ziemiańskie dwory. Później zdała sobie sprawę, że patrzy na domy zwykłych gospodarzy. Wokół każdego z nich znajdowały się solidne zabudowania gospodarskie. Murowane stodoły, obory i stajnie wyglądające porządniej niż każdy zawojski dom. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie niemiecką rodzinę opuszczającą to miejsce z tobołkami na plecach. Pomyślała o Kazku, który został w zrujnowanej chałupie, i przeszedł ją dreszcz. Nie mogła z nim zostać. Złe zadowoliło się w jego głowie. Nie było już ratunku.

Pojazd skręcił na brukowaną jeszcze przez Niemców drogę i zatrzymał się przy ogromnym gospodarstwie. Nie



mogła oderwać wzroku od krów pasących się na łące. Stado zdawało się nie mieć końca. Nigdy nie widziała tyle bydła. Po drugiej stronie ulicy trwała budowa niskich bloków. Były to czteromieszkaniowe domy z łazienką i ubikacją w środku. Jadzia jeszcze nigdy takiej ubikacji nie widziała. Owszem, w pobliskim Makowie były bloki, ale nie miała tam żadnych znajomych. Bo niby skąd, taka przybłęda przygarbięta przez wujka Józka?

Wysiedli z Andrzejem na placu przed PGR-em. Przy stoliku siedział mężczyzna w fartuchu. Mimo wyraźnych zakoli mógł uchodzić za przystojnego. Ustawiła się w kolejce zaraz za swoimi towarzyszami podróży, którzy dołączyli do niej na dworcu w Warszawie.

– Jadzinko, trzymajmy się razem, żeby nas nie rozdzielili przy kwaterunku.

– Tak, tak – odpowiedziała, spoglądając na Andrzeja, który wreszcie wydawał się zainteresowany otoczeniem. Zostawiwszy ich pakunki z boku, przyglądał się olbrzymiej oborze.

Gdy przyszła jej kolej, położyła przed kierownikiem dokumenty swoje i syna. Mężczyzna spisał ich dane.

– Jakieś doświadczenie w produkcji rolnej? – zapytał, unosząc na nią wzrok.

Jadzia się zaczerwieniła.

– Na gospodarce całe życie. – Mówiła powoli, pozbywając się gwary z każdego zdania. – Znam się na krowach, na leczeniu wymion...

Mężczyzna podniósł nagle dłoń, jakby chciał ją uciszyć.

– Od leczenia to my mamy zootechnika. Doić potrafi?

– Potrafi – odpowiedziała również w trzeciej osobie.

**Sięgnij po więcej!**



[www.mova.com.pl](http://www.mova.com.pl)



[facebook.com/wydawnictwo.mova](https://facebook.com/wydawnictwo.mova)



[instagram.com/wydawnictwomova](https://instagram.com/wydawnictwomova)